

# KAMIENIE NA SZANIEC...

## OD JANA KILIŃSKIEGO DO POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

(wystąpienie w Klubie Historycznym im. gen. „Grotta”, Warszawa, 22 września 2011 r.)

**O najbardziej chyba niezwykłym zjawisku w historii Polski XIX i XX w., o polskiej sztafecie pokoleń, o zjawisku ciągłości udziału kolejnych pokoleń w walkach o niepodległość, o utrzymanie niepodległości odzyskanej po 123 latach niewoli i zaborów, i utraconej zaledwie po dwóch dekadach, i znów w walkach o jej odzyskanie.**

By wyznaczyć ramy chronologiczne tej opowieści, powiem już teraz krótko, że słowa Tadeusza Kościuszki z 1794 r.: „Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest odważyć się być wolnym” przypomniał „Biuletyn Informacyjny” Armii Krajowej przed pierwszą rocznicą wybuchu II wojny światowej, w numerze z 23 sierpnia 1940 r.

Cztery lata później – dokładnie półtora wieku po Insurekcji Kościuszkowskiej – batalion Armii Krajowej, nazwany imieniem jej przywódcy w Warszawie, Jana Kilińskiego, zasłynął w Powstaniu Warszawskim, a w walkach powstańczych poległ jego praprawnik, dziewiętnastoletni strzelec Zgrupowania „Kryśka” Armii Krajowej Wojciech Bartosz Kiliński „Roland” (jego ojciec, prawnuk Jana, płk dypl. Władysław Kiliński, był oficerem Legionów Polskich i odrodzonego Wojska Polskiego)...

\*

Opowieść, którą zatytułowałem KAMIENIE NA SZANIEC, wypada zacząć od książki pod takim właśnie tytułem.

Cofnijmy się do 22 marca 1943 r. Wieczorem tego dnia, kilka godzin przed aresztowaniem Janka Bytnara „Rudego”:

Tadeusz Zawadzki, Janek Bytnar i „Orsza” szli Polem Mokotowskim – cytuję wspomnienia tego ostatniego, Stanisława Broniewskiego „Orszy”, ówczesnego komendanta warszawskich Grup Szturmowych, a wkrótce (od maja 1943 r.) naczelnika Szarych Szeregów. – Był cichy marcowy wieczór. Właśnie zakończyła się odprawa warszawskich Grup Szturmowych w mieszkaniu Janka, a teraz trwało wzajemne odprowadzanie, przedłużane niekończącym się wątkiem rozmowy. Janek mówił o książeczce [...] *Kamienie na szaniec*.

Przerywam relację „Orszy”, żeby przypomnieć, iż „kamienie na szaniec” to fraza z *Testamentu mojego*, jednego z najbardziej znanych wierszy Juliusza Słowackiego, napisanego w 1840 r., a opublikowanego po raz pierwszy w roku 1857, już po śmierci autora („A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei, / Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec!...”). Nic zatem dziwnego, że ów wiersz, a zwłaszcza powyższy jego fragment, był w czasie II wojny światowej tematem dość częstych dyskusji wśród harcerzy Szarych Szeregów.

Ówczesny kierownik Wydziału Kształcenia Starszyny w Głównej Kwaterze Szarych Szeregów Jan Rossman „Kuna” wspominał później swoje wrażenia z jednej z takich

dyskusji, toczącej się już po odbiciu Jana Bytnara „Rudego” w akcji pod Arsenalem i po jego śmierci, kiedy wrócił w nocy 30 marca 1943 r. do swojego domu razem z Tadeuszem Zawadzким „Zośką”, a dołączyli do nich Stefan Mirowski „Bolek” i Jan Wuttke „Czarny Jaś”:

Długo w noc siedzieliśmy w „dużym” pokoju i rozmawialiśmy. Trudna to była rozmowa. Rozpamiętywanie tego, co przeżyliśmy. Tadeusz przypominał sobie, jak rozmawiał z odbitym Rudym o wierszu Słowackiego „Testament mój”. Poprosił mnie o tom poezji Słowackiego. Przeczytał „Testament mój” głośno. Pamiętam, że uderzyło mnie wtedy to, że nawet najbardziej bohaterskie czyny, najgorętsze akty przyjaźni – ostatecznie będą „kamieniami rzuconymi na szaniec”. Szaniec? Budowlę obronną. Broniącą czego? Pewnych ludzkich wartości: tego, w co ludzie wierzą. A więc to, co robimy w konspiracji, w Podziemnej Polsce, jest budową szanica z tak serdecznego budulca? „Kamienie na szaniec” utkwily mi w pamięci. Wróciły na stronę tytułową relacji „Zośki”.

Dałem Tadeuszowi egzemplarz jego relacji przepisanej przeze mnie na maszynie. Było to w pierwszych dniach maja 1943 roku. Tadeusz wniósł kilka poprawek zielonym atramentem. Egzemplarz ten posłużył potem Aleksandrowi Kamińskiemu w jego rozmowach ze „świadkami historii” i w jego pracy nad książką.

[...]

Pamiętam, że sprawa tytułu opracowania Aleksandra Kamińskiego sprawiła pewien kłopot: proponowany przez nas tytuł „Kamienie na szaniec” stanowczo mu nie odpowiadał. Swemu opowiadaniu nadał tytuł „Życie i śmierć”. Upierał się przy nim mocno. Mówił: kamienie to coś twardego i zimnego – cóż to ma wspólnego z uczuciem przyjaźni, ofiarą życia? Doskonale pamiętam marsz z Zalesia do Piaseczna z Tadeuszem, a potem w Warszawie aleją Niepodległości od Rakowieckiej do ulicy 6 Sierpnia i rozważania, jakich argumentów użyć, aby jednak przekonać Kamińskiego do naszej propozycji tytułu. Z trudem, bo z trudem, ale w końcu się to udało.

Pierwsze konspiracyjne wydanie *Kamieni na szaniec* Aleksandra Kamińskiego ukazało się drukiem w lipcu 1943 r. (do dziś dwadzieścia jeden edycji w łącznym nakładzie ponad 800 tys. egzemplarzy).

W lipcu 1943 r.... O jakiej zatem książce pod takim tytułem rozmawiali „Rudy” z „Zośką” 22 marca 1943 r., a zatem cztery miesiące **przed** tym faktem, miesiąc **przed** przepisaniem na maszynie relacji „Zośki” przez Jana Rossmana, który nadał jej wówczas taki właśnie tytuł: *Kamienie na szaniec*, kilka dni **przed** akcją pod Arsenalem i śmiercią „Rudego”, faktami stanowiącymi kanwę zarówno relacji „Zośki”, jak i następnie książki Kamińskiego?

Mówili oczywiście o książce Karola Koźmińskiego, pierwszej pod tytułem *Kamienie na szaniec*, wydanej w niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej dwa lata przed wybuchem wojny, w 1937 r. we Lwowie i Warszawie, i opowiadającej o dwunastu żołnierzach Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego i innych formacji czasów I wojny światowej, urodzonych w niewoli i poległych w walkach o niepodległość Polski. W krótkiej przedmowie autor nazwał ich „kopcami granicznymi nowej Polski”.

Pierwszy zamieszczony w tej książce tekst nosił znamienity tytuł *W ślady Traugutta*, wskazujący na ciągłość tych walk od Powstania Styczniowego (w tej insurekcji brał udział ojciec pierwszego bohatera książki Koźmińskiego, ppor. Stanisława Kaszubskiego „Króla”, powieszono go przez Rosjan 7 lutego 1915 r. w Pilźnie) aż do odzyskania wolności przez Polskę w 1918 r. i do jej obronienia przed bolszewicką Rosją w 1920 r.

O ciągłości walk, poczynając od obu insurekcji dziewiętnastowiecznych: listopadowej i styczniowej, zaświadczał przodkowie ostatniego z bohaterów książki Koźmińskiego: mjr./ppłk. Antoniego Jabłońskiego „Zdzisława”, najmłodszego, osiemnastoletniego, ułana pierwszego patrolu ułanów Legionów Polskich (nazwanego „siódmką Beliny”), który sześć lat później w odrodzonym Wojsku Polskim już w niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej został w wieku 24 lat dowódcą 11. pułku ułanów, a śmiertelne rany odniósł 12 października 1920 r., w dniu podpisania rozejmu kończącego wojnę polsko-bolszewicką.

W zamykającym książkę tekście, pod znamienym tytułem *Ostatnia kula*, Karol Koźmiński pisał o domu rodzinnym Jabłońskiego:

Pełen był tradycji walk o niepodległość. Dziadowie małego Antka z linii męskiej i żeńskiej byli żołnierzami rewolucji listopadowej i styczniowego powstania. Ojciec, urodzony w roku 1863, wzrósł w żywej jeszcze atmosferze walk ostatnich i nowo narodzonego syna powitał ze słowami: „Urodził się Polsce żołnierz!”

\*

Tu ważne uzupełnienie: mówimy dziś o ciągłości pokoleniowej, która towarzyszyła ciągłości tradycji kolejnych insurekcji narodowych i „wymarszów ku wolności”.

Zaznaczyć zatem wypada, że w czasach niewoli zarówno oddziały ćwiczebne „Zarzewia” (tworzone od 1909 r.), jak i pierwsze drużyny harcercskie (tworzone od 1911 r.), w niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej pułki odrodzonego Wojska Polskiego, szkoły i drużyny harcercskie, a w czasie II wojny światowej oddziały Armii Krajowej i innych organizacji konspiracyjnych – otrzymywały za patronów bohaterów narodowych, najczęściej najbardziej znanych uczestników kolejnych insurekcji.

Odnotować także trzeba jakże wyraźnie widoczne odwoływanie się zwłaszcza do tradycji Powstania Styczniowego w niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej, poczynając od uroczystych obchodów kolejnej (pięćdziesiątej szóstej) rocznicy wybuchu Powstania Styczniowego z udziałem 140 tys. warszawiaków z Naczelnikiem Państwa Józefem Piłsudskim na czele, zorganizowanych 22 stycznia 1919 r. pod Krzyżem Traugutta na stokach Cytadeli Warszawskiej. Wspomnieć także wypada o wznowieniu 22 stycznia 1920 r. przez Józefa Piłsudskiego nadawania Orderu Wojennego *Virtuti Militari* jak również o wydaniu 22 stycznia 1943 r. rozkazu Dowódcy Armii Krajowej o utworzeniu Kedywu (Kierownictwa Dywersji). Niezwykle szanowani w niepodległej Polsce weterani Powstania Styczniowego otrzymali prawo „noszenia mundurów wojsk polskich w dni uroczyste” na mocy rozkazu Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego z 21 stycznia 1919 r.

Kiedy dwadzieścia pięć lat później wraz z ostatnimi oddziałami Armii Krajowej wychodził 5 października 1944 r. z Warszawy do niewoli niemieckiej dowódca AK gen. dyw. Tadeusz Komorowski „Bór”, jedna z obserwujących tę scenę kobiet ofiarowała mu na drogę srebrny medalion z Powstania Styczniowego 1863 r.:

Nagle wystąpiła z tłumu nieznana mi kobieta w żałobie, podeszła do mnie – wspominał „Bór” – i wręczając mi srebrny medalion rzuciła tych kilka słów: „Proszę przyjąć, panie generale, tę pamiątkę z powstania 1863 roku”.

Jak się okazało wiele lat później, ową kobietą w żałobie była siostra Kazimierza Moczarskiego, Anna Rothenburg-Rościszewska „Margot”, wdowa po Witoldzie Rothenburg-

-Rościszewskim „Karlińskim”, przywódcy organizacji konspiracyjnej „Pobudka”, zamordowanym przez Niemców w 1943 r., którego syn z pierwszego małżeństwa Michał Rościszewski „Miś”, czternastoletni żołnierz batalionu Armii Krajowej „Czata 49”, odznaczony Krzyżem Walecznych, poległ w Powstaniu Warszawskim. Ufundowana przez Annę tablica pamiątkowa ku czci męża i jego syna znajduje się w kościele św. Marcina w Warszawie.

\*

W roku wydania książki Koźmińskiego (1937) w obecnej siedzibie działało już od trzech lat Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, nazwane przez Józefa Piłsudskiego „świątynią sławy oręża polskiego i skarbnicą nieśmiertelnego ducha rycerskiego”. W centralnym punkcie Sali Powstania Styczniowego nad rzeźbą głowy Traugutta wisiały tam na ścianie carskie kajdany z X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej ułożone w kształt... kotwicy. Tak, bowiem kotwica – najśłynniejszy znak graficzny Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego – pojawiła się po raz pierwszy w historii Polski właśnie krótko przed wybuchem Powstania Styczniowego (po masakrze na placu Zamkowym 8 kwietnia 1861 r.), obok krzyża i korony cierniowej, będąc najczęściej spotykanym elementem w czarnej biżuterii, a później wśród symboli lepionych z chleba i rzeźbionych w kawałkach drzewa przez zesłańców syberyjskich po Powstaniu Styczniowym.

\*

Powracam do głównego chronologicznego wątku mojej opowieści o kolejnych pokoleniach „kamieni na szaniec”.

Prawnukiem dowódcy pierwszych Legionów Polskich, utworzonych w 1797 r. we Włoszech, gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, był gen. bryg. Romuald Dąbrowski (1874–1940), urodzony na Bukowinie, oficer armii austriackiej, w odrodzonym Wojsku Polskim dowódca 28. Dywizji Piechoty i Okręgu Korpusu IV Łódź, umieszczony na tzw. ukraińskiej liście katyńskiej i zamordowany w maju 1940 r.

Synowie Romualda to również Romuald Dąbrowski (rtm. Wojska Polskiego i Armii Krajowej, zamordowany przez Niemców) i kpt. Franciszek Dąbrowski (urodzony w Budapeszcie, absolwent Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie, oficer Wojska Polskiego, w kampanii wrześniowej 1939 r. zastępca dowódcy obrony Westerplatte, mjr. Henryka Sucharskiego).

(Mała dygresja: w przyszłym roku w Mediolanie na placu przed katedrą odsłoniemy tablicę upamiętniającą zarówno pierwszą defiladę żołnierzy Legionów Dąbrowskiego w styczniu 1797 r., jak i ostatnią defiladę żołnierzy II Korpusu Polskiego gen. dyw. Władysława Andersa w sierpniu 1946 r.).

\*

Praprawnuk rannego w słynnej szarży pod Somosierrą (1808) Mikołaja Dunin-Wąsowicza – rtm. Zbigniew Dunin-Wąsowicz (1882–1915), urodzony w Brzeżanach, syn szambelana dworu cesarza Austro-Węgier, absolwent austriackiego Korpusu Kadetów i oficer armii austriackiej, potem oficer Legionów Polskich, poległ w szarży pod Rokitną (blisko Chocimia) 13 czerwca 1915 r. Był wówczas dowódcą 2. dywizjonu ułanów II Brygady Legionów Polskich, późniejszego 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich, który zaszczytne to miano otrzymał 2 czerwca 1919 r.

W szarzy pod Rokitną uczestniczył również – i został ranny – jego brat, por. Bolesław Dunin-Wąsowicz (1894–1919), dowódca szwadronu, który cztery lata później poległ w obronie ich rodzinnych Brzeżan w szeregach 9. pułku piechoty Legionów.

Przypomnijmy sobie, co pisał Wacław Denhoff-Czarnocki w *Piosence o poległych ulanach* (1915):

Od Chocimia ciągną wieści,  
Pełne starej krwawej treści...  
Od Chocimia głoszą pieśni,  
Że legendom my rówieśni,  
Że jak dawniej krwawo kwitną  
Polskie maki pod Rokitną.  
Prawi pieśń, że ciemną nocą  
Chorągiewki lanc furgocą  
Na mogiłach, gdzie schowani  
Młody rotmistrz i ułani,  
Że z dalekiej Samosierry  
Przyjechały szwoleżery,  
Żeby nad mogiłą nową  
Pełnić wartę honorową...  
Wiecznie polski żołnierz będzie  
Ginął w boju – żył w legendzie.

Dwadzieścia dziewięć lat po napisaniu tego wiersza powstała najsłynniejsza z napisanych w czasie II wojny światowej polska pieśń żołnierska – także o makach czerwonych od krwi – *Czerwone maki pod Monte Cassino* Feliksa Konarskiego (Ref-Rena).

(I znów mała dygresja: z ogromną satysfakcją mogę poinformować, że wyczekiwany od lat remont generalny Polskiego Cmentarza Wojennego na Monte Cassino Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa rozpoczęła wiosną i zakończy do grudnia).

\*

Dochodząc powoli do Powstania Listopadowego, wypada przypomnieć, że imię najbardziej znanego bohatera tej insurekcji, gen. Józefa Sowińskiego (poległego w obronie Woli 6 września 1831 r.), nosił w czasie Powstania Warszawskiego jeden z powstańczych batalionów Armii Krajowej, utworzony w Śródmieściu z oddziałów walczących wcześniej na Woli.

W poświęconym Powstaniu Listopadowemu numerze specjalnym „Mówią Wieki” przypomniemy niedługo fakt niemal całkowicie zapomniany, przywracając pamięć o weteranach także tego – a nie tylko styczniowego – powstania uczestniczących w uroczystościach rocznicowych w niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej.

Jednym z nich był ordynans Sowińskiego, towarzyszący mu aż do śmierci, Michał Szurmiński, który brał udział jeszcze w „manifestacji Warszawy ku czci generała Sowińskiego” 16 października 1927 r. w Warszawie na Woli. Liczył sobie wówczas 125 lat! I zmarł najpewniej w niedługim czasie.

Drugim był młodszy, liczący w chwili śmierci w 1922 r. lat 108, Łukasz Przybylski, uczestnik trzech powstań, o którym pisał wówczas Artur Górski:

W osobie tego prawie nieznanego szerszemu ogółowi wojaka zeszyły się wszystkie trzy, a raczej cztery pokolenia, dzielące nas od ostatniego rozbioru; zeszyły się też ich orężne czyny i ich cierpienia w niewoli.

Urodzony w roku 1814, w roku 1830 wychowanek szkoły podchorążych w Warszawie, jako szesnastoletni wyrostek bije się w szeregach. Wzięty do niewoli w jednej z bitew, wywieziony do Rosji, zostaje wcielony do armii carskiej. Po latach dwudziestu pięciu wraca na zagon ojczyzny i poczyna życie niejako na nowo.

Lecz wtedy właśnie wybucha powstanie styczniowe. Przybylski rzuca dom, idzie w szeregi, obejmuje dowództwo oddziału, końcem bagnetu załatwia rachunki z Rosją. Pod Radzyminem schwycony, zakuty, zostaje wtrącony w podziemia kopalni sybirskiej na lat trzy, a następnie dożywotnim osiedleńcem zatrzymanym na Syberii.

W takiej to przeciętnej polskiej konduicie dożył nasz kadet szkoły podchorążych lat stu, kiedy wybuchła wojna światowa. Doczekał i rewolucji, a poczuwszy się wolnym ruszył, mając lat 104, z guberni irkuckiej „do domu”.

Przebywa Sybir i Rosję, dociera do Bobrujska. Tu ujrzał ułańskie chorągiewki gen. Dowbora-Muśnickiego. Odżyły stare kości od ich barwnego furkotu. Poczul żołnierz „listopadowy” dawny młody wigor w kościach, zobaczył się na powrót kadetem, trzasnął z siebie wiek żywota jak sen z młodych powiek i już w dni kilka siedział na koniu z lancą w rękę, on, stuczteroletni kadecik, zdrów jak dąb i siwy jak gołąb, w jednym szeregu ze smykami, którym mógłby śmiało pradziadkować.

Jak się przedostał w rok potem w Poznańskie, tego nie wiem; dość, że w roku 1919 widzimy go w armii wielkopolskiej zajętego wymiataniem Niemców; nie w intendenturze, ale w walce frontowej. Ranny w lewą (stąpięcioletnią) nogę, idzie rozmyślać na łóżku szpitalnym w Warszawie, co się to w tak krótkim czasie porobiło na świecie. Zwłaszcza że Belweder niedaleko – a pan pułkownik Przybylski ma dotąd w pamięci mopsią twarz księcia Konstantego.

Tu trzeba dodać, że generał Dowbór-Muśnicki, znalazłszy się w kropce, awansował tego kadeta z roku 1831 na pułkownika w r. 1919, przy odsyłaniu go do szpitala. Nigdy, jak świat światem i ziemia ziemią, żaden pułkownik tak długo na awans nie czekał. To prawda. Trzeba jednak uwzględnić drobne w tym czasie przeszkody: czterech carów, dwóch królów i pięciu cesarzów, no i armię złożoną z trzydziestu milionów chłopów, co wszystko trzeba było przeczekać i w końcu usunąć z drogi. Co to jednak znaczy nie zrażać się. Twarda kość mazurska pokonała te wszystkie *obstacles*.

Teraz dopiero, zrobiwszy, co było w życiu do zrobienia, pan Łukasz Przybylski, odetchnąwszy jeszcze krzywą na rodzonej ziemi płockiej w zacisznym czystym Lipnie, z wdzięcznością w sercu, z pokojem w duszy – pomarł. Spłacił ostatnią ratę długu swego: oddał ciało ziemi, z której je wziął – i odszedł do Ojców swoich.

Nie jesteście ten żołnierz, znany i imienny, symbolem tych wszystkich bojowników naszych, znanych i nieznanych, imiennych i bezimiennych, którzy z bronią w rękę walczyli o wolność wydartą, znieść nie mogącą niewoli – i w nałożone pęta cięli szablą w roku trzydziestym pierwszym, sześćdziesiątym trzecim i w latach wojny narodów.

\*

O wielkim znaczeniu tradycji Powstania Styczniowego już wspominałem. Tu znów czas na kilka nazwisk.

Pułkownik Zygmunt Padlewski (1836–1863), oficer armii carskiej, przewodniczący Towarzystwa Młodzieży Polskiej w Paryżu, członek Komitetu Centralnego Narodowego i naczelnik woj. płockiego w powstaniu styczniowym, został rozstrzelany 15 maja 1863 r. w Płocku. Pół roku później został rozstrzelany jego ojciec, Władysław, uczestnik obu powstań (listopadowego i styczniowego).

Stryjeczny brat Władysława, Włodzimierz Padlewski (1815–1886), był poetą, rysownikiem, uczestnikiem Powstania Listopadowego i zesłańcem.

Syn Włodzimierza, Leon Padlewski (1870–1943), lekarz bakteriolog, pomocnik dyrektora Instytutu Bakteriologicznego w Moskwie, kierownik Katedry Mikrobiologii na Uniwersytecie w Jekaterynosławiu, w niepodległej Polsce dziekan Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, w czasie okupacji niemieckiej wysiedlony z Poznania, zmarł 8 września 1943 r. w Warszawie.

Jego starszy syn, Jerzy Padlewski, rocznik 1913, architekt, pracownik wywiadu Armii Krajowej, aresztowany przez Niemców 5 marca 1942 r. w Warszawie, więziony w berlińskim więzieniu Moabit, został stracony na gilotynie 3 lutego 1943 r. w więzieniu Plötzensee.

Młodszy syn, ppor. Roman Padlewski „Skorupka”, rocznik 1915, skrzypek, kompozytor, dyrygent chóru, krytyk muzyczny, był oficerem Armii Krajowej. W Powstaniu Warszawskim walczył w szeregach plutonu pancernego batalionu AK „Zośka” i zmarł z ciężkich ran w szpitalu powstańczym 16 sierpnia 1944 r., „trzymając w rękach obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, który otrzymał od matki” Nadziei z domu Beresteniew, pianistki, uczennicy Artura Rubinsteina.

Pułkownik Dyonizy Czachowski (cioteczny brat Chopina, poległy 6 listopada 1863 r.) jest bohaterem trzech książek. Autorem pierwszej z nich – wydanej w 1914 r. w Poznaniu – był ppor. Stanisław Długosz „Jerzy Tetera”, rocznik 1891, absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, wybitny działacz Organizacji Młodzieży Narodowej („Pet”), współorganizator Polskich Drużyn Strzeleckich, poeta, który poległ jako dowódca plutonu 5. pułku piechoty Legionów Polskich.

Długosza nazwano „Romanowskim dni naszych”. Przypomnijmy: Mieczysław Romanowski, poległy w Powstaniu Styczniowym 24 kwietnia 1863 r., poeta, był czołowym reprezentantem ostatniej fazy polskiego romantyzmu w okresie bezpośrednio przedpowstaniowym (napisał także rozprawę *O legionach polskich*, 1861).

Pośmiertny tom poezji Długosza nosił tytuł *Przed złotym czasem*. Przyjął go i wykorzystał trzy pokolenia później prof. Andrzej Romanowski w tytule swojej znanej książki „*Przed złotym czasem*”. *Szkice o poezji i pieśni patriotyczno-wojennej lat 1908–1918*.

Długosz poległ 6 sierpnia 1915 r., następnego dnia po kolejnej rocznicy śmierci dyktatora Romualda Traugutta, stojącego od października 1863 r. na czele tajnego Rządu Narodowego, powieszono przez Rosjan 5 sierpnia 1864 r. na stokach Cytadeli Warszawskiej (Krzyż Traugutta ustawiono i Drzewo Traugutta posadzono uroczystie w miejscu jego śmierci w niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej w 1919 r.).

Przypomnijmy sobie słowa Józefa Piłsudskiego:

Wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 1863 roku istniała, a polegała ona na jedynym może w dziejach naszych rządzie, który, nieznan z imienia, był tak szanowany i tak słuchany, że zazdrość wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów.

...i powszechnie znany wiersz *Powstańcy* Artura Oppmana (Or-Ota):

[...]  
 Rząd Narodowy! W Polsce każdy o nim wiedział,  
 Lecz nikt się nie domyślał: skąd działał? Gdzie siedział?  
 Godłem jego widomym był świstek maleńki,  
 Który jakby relikwia szedł z ręki do ręki;  
 Klucząc tajnie, żandarmskie myląc ślady tropów,  
 Nadlatywał do szlachty, do mieszczan, do chłopów,  
 I nigdy żadna władza w żadnym świata ruchu  
 Takiego, jak ów świstek, nie miała posłuchu...  
 [...]

Owe „świstki maleńkie” pieczętowane były „skromną pieczęcią” Rządu Narodowego, nazwaną przez „Tygodnik Ilustrowany” (w kolejną rocznicę Powstania Styczniowego, w styczniu 1937 r.) – „hostią narodowego sakramentu, którą naród w godzinach swoich najwyższych mąk przyjmował jako posilenie i pokrzepienie duchowe”.

Pojęcia wymienione na pieczęci powstańczego Rządu Narodowego (Równość-Wolność-Niepodległość) przyjęła w czasie II wojny światowej za swój kryptonim konspiracyjna Polska Partia Socjalistyczna (szeregując je w nieco innej kolejności): Wolność-Równość-Niepodległość, w skrócie WRN. Takim także skrótem sygnowane były tajne wydawnictwa Polskiej Partii Socjalistycznej. Centralny organ prasowy konspiracyjnej PPS nosił nawet taki właśnie tytuł. Od 2 maja 1944 r. w miejsce kryptonimu „WRN” przywrócono tradycyjną nazwę: Polska Partia Socjalistyczna, 18 czerwca 1944 r. zaś tytuł jej pisma z „WRN” zmieniono na tradycyjny: „Robotnik”.

Jeden z wnuków Traugutta, Adam Juszkiewicz, poległ w szeregach armii rosyjskiej w czasie I wojny światowej, w walce z Niemcami, drugi – Bolesław Juszkiewicz, poległ w kampanii wrześniowej 1939 r. w obronie Warszawy, prawnuk Jerzy Juszkiewicz zaś zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz.

Pseudonimu „Traugutt” używał zarówno Jan Wyglenda (1894–1973), jeden z dowódców I i III Powstania Śląskiego, jak i Antoni Pajdak (1894–1988), komendant główny Milicji Robotniczej Polskiej Partii Socjalistycznej (WRN), drugi zastępca Delegata Rządu RP na Kraj i minister-członek Krajowej Rady Ministrów.

Kilka tygodni po osiemdziesiątej rocznicy męczeńskiej śmierci Traugutta jego imię w czasie Powstania Warszawskiego nadano jednej z trzech dywizji (8. Dywizji Piechoty na Żoliborzu) Warszawskiego Korpusu Armii Krajowej, utworzonego na mocy rozkazu Dowódcy AK gen. dyw. Tadeusza Komorowskiego „Bora” z 20 września 1944 r.

\*

Patronem drugiej z trzech dywizji Warszawskiego Korpusu Armii Krajowej – 28. Dywizji Piechoty w Śródmieściu – został Stefan Okrzeja (1866–1905), dowódca jednej z dwóch pierwszych „dziesiątek” Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, który 13 listopada 1904 r. podczas zbrojnej demonstracji na pl. Grzybowskim w Warszawie (pierwsze zbrojne wystąpienie po Powstaniu Styczniowym) niósł sztandar i to on oddał pierwszy strzał. Okrzeja został stracony przez Rosjan 21 lipca 1905 r.



Organizacja Bojowa PPS była „żelaznym kwiatem Piłsudskiego, z którego powstał piękny owoc – niezwyciężone Wojsko Polskie” (to słowa Stanisława Andrzeja Radka).

„Okrzeja, Baron, Montwiłł i inni bohaterowie Waszej organizacji bojowej byli natchnieniem dla pierwszego zawiązku Wojska Polskiego” – napisał premier i Naczelnny Wódz gen. broni Władysław Sikorski do kierownictwa konspiracyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej; słowa te przytoczono w jego *Rozkazie do Sił Zbrojnych* nr 4 z 18 maja 1943 r.

Okrzeja był już wówczas patronem III batalionu Gwardii Ludowej Polskiej Partii Socjalistycznej – Oddziałów Wojskowych Pogotowia Powstańczego Socjalistów (OW PPS) w Warszawie na Woli, a jego imię nosiła także jedna z barykad powstańczych na Woli, broniona przez żołnierzy tego batalionu.

Młodszy o 21 lat brat Stefana Okrzei, któremu na jego cześć nadano to samo pierwsze imię, por. Stefan Stanisław Okrzeja, rocznik 1907, absolwent Szkoły Podchorążych Lotnictwa dla Podoficerów w Bydgoszczy, w kampanii wrześniowej 1939 r. zastępca dowódcy 112. eskadry myśliwskiej w składzie Brygady Pościgowej, zestrzelił dwa samoloty niemieckie w obronie Warszawy i poległ 5 września 1939 r.

Synem stryjecznej siostry Stefana Okrzei jest Jan Olszewski (ur. 1930), członek Szarych Szeregów, uczestnik Powstania Warszawskiego, adwokat, obrońca w procesach politycznych, czołowy działacz Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (1976), współzałożyciel KOR (1976), współredaktor statutu NSZZ „Solidarność” (1980), premier rządu RP w latach 1991–1992, doradca Prezydenta RP 2005–2007.

\*

Legiony Polskie Józefa Piłsudskiego już się w tej opowieści pojawiały. Tu chciałbym przypomnieć jeszcze tylko dwóch ich bohaterów.

Pierwszym z nich jest por. Mikołaj Szyszłowski „Sarmat” (1883–1915), absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych (uczeń Józefa Mehoffera), artysta malarz, grafik, nauczyciel rysunków w I Gimnazjum św. Anny w Krakowie, komendant Obwodu Krzeszowice Związku Strzeleckiego, w Legionach dowódca kompanii w III i V batalionie, poległ 21 maja 1915 r.

[...]

Umarł. Zabito go, gdy odwrót słońił.

Padł podczas huku piekielnego armat.

Nie płaczcie! Nigdy z mężnych ócz nie ronił

Łez – Sarmat!

– napisał Bolesław Lubicz-Zahorski po jego śmierci w wierszu *Porucznik Sarmat*.

Zachował się portret „Sarmata” rysowany węglem przez Kazimierza Witkiewicza i piękne zdjęcie, wykonane na przełomie 1914/1915 r., pokazujące oficera na koniu i stojącą przy nim jego żonę, Marię z domu Sarmantowską „Dane”. Była sanitariuszką kolejno w Legionach Piłsudskiego, w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. i w kampanii wrześniowej 1939 r. w obronie Warszawy. Poległa w czasie bombardowania 18 września 1939 r. wraz z córką z drugiego małżeństwa.

Jej drugi mąż, płk prof. dr med. Jerzy Alexandrowicz (1886–1970), absolwent studiów przyrodniczych na Uniwersytecie w Zurychu i studiów medycznych na Uniwersytecie w Jenie, lekarz w Legionach Polskich, naczelnny lekarz 211. pułku ułanów w wojnie polsko-

-bolszewickiej 1920 r., kierownik Katedry Histologii i rektor Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, był także w latach 1937–1938 wiceministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego. W kampanii wrześniowej 1939 r. lekarz wojskowy, następnie jeniec w sowieckim obozie jenieckim w Kozielsku, od 1941 r. był lekarzem w 5. Dywizji Piechoty i kierownikiem referatu spraw młodzieżowych w Wydziale Oświaty sztabu Armii Polskiej w ZSRS, a następnie szefem Wydziału Oświaty sztabu Armii Polskiej na Wschodzie.

Pół roku po „Sarmacie”, 5 listopada 1915 r., poległ por. Tadeusz Żuliński „Roman”, „Roman Barski” (1889–1915), urodzony we Lwowie, absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza, dr medycyny, uczestnik strajku szkolnego 1906, komendant Związku Strzeleckiego w Zagłębiu Dąbrowskim, od sierpnia 1914 r. adiutant Józefa Piłsudskiego w Legionach Polskich, następnie od października komendant główny Polskiej Organizacji Wojskowej, organizator i dowódca Batalionu Warszawskiego POW, po jego wejściu w skład Legionów Polskich (sierpień 1915 r.) dowódca 2. kompanii VI batalionu. Ciężko ranny w bitwie pod Kuklami, zmarł 5 listopada 1915 r. w szpitalu polowym w Sewerynowce.

Któż nie pamięta w pierwszych dniach walk obok poważnej, skupionej postaci komendanta, młodego porucznika Żulińskiego!

[...]

Gdy razem jechali w samochodzie, gdy razem szli ku pozycjom lub gdy razem zatrzymywali się gdzieś na spiesznym postoju, zdawać się mogło, że doświadczonemu wodzowi towarzyszy wybrany niejako przedstawiciel ostatniego pokolenia, które zerwało się walczyć o Polskę – wspominał Juliusz Kaden-Bandrowski.

„Komendantem podziemnej Warszawy” i organizatorem „batalionu dzieci warszawskich” nazwał go Marian Kukiel we wspomnieniu pośmiertnym, opublikowanym w grudniu 1915 r. w „Wiadomościach Polskich”. Tytuł *Komendant podziemnej Warszawy* nosi też książka o nim, autorstwa Zygmunta Zygmuntowicza, wydana w 1937 r. we Lwowie i Warszawie.

Owo drugie sformułowanie Kukiela nawiązywało do tradycji 5. pułku strzelców pieszych „Dzieci Warszawskich” z czasów Powstania Listopadowego, utworzonego w styczniu 1831 r., walczącego w bitwach pod Wawrem i Ostrołką oraz uczestniczącego we wrześniowej (1831) obronie Warszawy.

Tradycje tego pułku i zaszczytne miano „Dzieci Warszawskich” przejął następnie 21. Warszawski Pułk Piechoty, powołany do życia w dniu odzyskania przez Polskę niepodległości 11 listopada 1918 r., który zapisał się chlubnie w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. i w kolejnej wrześniowej obronie Warszawy – we wrześniu 1939 r. Warto tu przypomnieć, że cztery lata wcześniej poczet sztandarowy tego pułku uczestniczył w uroczystościach warszawskich 1 września 1935 r. (o których mówię niżej) ku czci Tadeusza Żulińskiego. 21. Warszawski Pułk Piechoty odtworzony został w konspiracji w ramach Okręgu Warszawa Armii Krajowej, dowodzonego już przez kolejnego komendanta podziemnej stolicy, czyli płk./gen. bryg. Antoniego Chruściela „Montera”.

W dwudziestą rocznicę wymarszu Batalionu Warszawskiego POW z Warszawy „dnia 1 września [1935 r.] Warszawa uroczyście obchodziła pamięć śp. por. Tadeusza Żulińskiego” – napisał tygodnik „Świat”, nadając swojej relacji znamienity tytuł: *Święto niepodległej Warszawy*. Odślonięto wówczas tablicę pamiątkową na ulicy, noszącej odtąd jego imię (części ulicy Żurawiej, skąd powoiacy wyruszyli do Legionów), a wygłoszone podczas uroczystej akademii

przemówienie prezydent stolicy Stefan Starzyński zaczął słowami: „Obywatele! W dniu dzisiejszym Warszawa czci swych pierwszych jawnych żołnierzy polskich”. Odślonięcia tablicy z nową nazwą ulicy dokonał natomiast wiceprezydent m.st. Warszawy Jan Pohoski.

Symbolicznego znaczenia nabiera fakt, że obaj prezydenci Warszawy występujący podczas tej uroczystości (Starzyński i Pohoski) już cztery lata później podczas wrześniowej obrony Warszawy czynem zadokumentowali wierność wygłaszanym słowom, a następnie życiem zapłacili za kontynuowanie chlubnej tradycji udziału w walkach o niepodległość.

W czasie uroczystości 1 września 1935 r. odsłonięto jeszcze jedną tablicę pamiątkową na Pałacu Namiestnikowskim (zniszczoną w czasie wojny, staraniem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa zrekonstruowaną na podstawie zachowanej fotografii i odsłoniętą 10 listopada 2010 r. przez prezydenta Rzeczypospolitej Bronisława Komorowskiego) następującej treści:

W tym miejscu stolicy w dniu 5 sierpnia 1915 roku po raz pierwszy od dnia 8 września 1831 roku stanął jawnie na warcie żołnierz polski z Batalionu Warszawskiego Polskiej Organizacji Wojskowej.

Tablica mówi o sytuacji bezpośrednio po ewakuacji Rosjan i zajęciu Warszawy przez Niemców 5 sierpnia 1915 r. (dokładnie w 51. rocznicę stracenia przez Rosjan Romualda Traugutta na stokach Cytadeli Warszawskiej), gdy żołnierze Batalionu Warszawskiego POW Tadeusza Żulińskiego na pierwszą swoją kwaterę – zanim 7 sierpnia przenieśli się do budynku przy ulicy Wielkiej róg Żurawiej, skąd wymaszerowali następnie na front – wybrali Pałac Namiestnikowski przy ulicy Krakowskie Przedmieście 46/48.

Powtórzmy: „W tym miejscu stolicy w dniu 5 sierpnia 1915 r. po raz pierwszy od dnia 8 września 1831 r. stanął jawnie na warcie żołnierz polski...”.

Kolejny fragment mojej opowieści chciałbym poświęcić ważnym i interesującym powiązaniom rodzinnym Tadeusza Żulińskiego. W rozkazie z 29 listopada 1915 r. po jego śmierci Józef Piłsudski pisał:

Szedł w ślady ojców i dziadów, którzy tajemnie w ciężkich więzach podziemnego spisku gotowali broń przeciw najeźdźcy. Jego to i jego kolegów praca nawiązywała w naszej walce nić tradycji z tą specyficznie polską wojną, którą toczyli nasi przodkowie, a z ducha której wyrosliśmy i my – nowocześni żołnierze polscy.

Po ekshumacji z grobu w Sewerynowce Żuliński został uroczystie pochowany 12 maja 1916 r. na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, w grobowcu rodzinnym, na którym delegacja oficerów I Brygady Legionów Polskich złożyła wieniec od Komendanta z krótkim napisem: „Romanowi”.

Uroczystości pogrzebowe przerodziły się w wielką manifestację narodową z udziałem wielu tysięcy osób, opisywaną we wszystkich miejscowych pismach polskich. „Kurier Lwowski” napisał nawet, że „takiego pogrzebu Lwów nie widział”, Zygmunt Zygmuntowicz zaś po latach ocenił, iż

[...] pogrzeb Tadeusza Żulińskiego był pierwszym apelem Lwowa do żywiołowego skupienia się, by w dwa lata potem stanąć do boju o przynależność do Macierzy.

O ile w przytoczonym wyżej rozkazie z 29 listopada 1915 r. słowa Piłsudskiego o Żulińskim: „szedł w ślady ojców i dziadów”, mogły być odczytane jako literacki jedynie zapis mówiący o pokoleniowej ciągłości udziału w walkach o niepodległość Polski, o tyle już przemówienia na pogrzebie Tadeusza Żulińskiego nie pozostawiały żadnej wątpliwości, że akurat w jego przypadku mieliśmy do czynienia także z ciągłością rodzinną.

I smutek ustąpić musi i uczucia radości, gdy uświadomimy sobie, że wielka i święta idea przechodzi w Polsce z pokolenia w pokolenie, że wielki duch Romana Żulińskiego, stryja bohatera z 63 r. i ojca Józefa nie zagaśł, lecz odżył w Tadeuszu, bohaterze walk ostatnich – mówił ks. Jan Ciemniowski, długoletni katecheta zmarłego.

Piąte pokolenie z kolei – cytuję słowa Edwarda Webersfelda w imieniu weteranów Powstania Styczniowego – chwyciło za oręż do walki z odwiecznym wrogiem. Dotąd porywy nasze kończyły się klęskami, a ciemiezca szubienicą, katorgą, lodami Sybiru starał się ostudzać zapal narodowy. Mylił się wróg jednakże, bo oto znowu, jak przed laty, z krwi i kości poległych powstały zastępy mścicieli i poszły w bój z hasłem, iż póty walczyć będą, póki Ojczyźnie wolności nie zdobędą. Porwały się dzieci polskie, by spełnić nieśmiertelne przykazanie ojców, dziadów i pradziadów.

Wyjaśnienie powiązań rodzinnych Tadeusza Żulińskiego zacząć wypada od wuja jego matki, nazywanego dziadkiem, Józefa Kajetana Janowskiego (1832–1914), architekta, ostatniego żyjącego członka tajnego Rządu Narodowego z czasów Powstania Styczniowego, organizatora Towarzystwa Weteranów r. 1863–1864 we Lwowie, którego Stefan Kieniewicz nazwał „urzędowym niejako piastunem tradycji 1863 r.”

To właśnie na pogrzebie Józefa Janowskiego – 26 czerwca 1914 r. we Lwowie – Józef Piłsudski, który przybył tu na czele oddziału Związku Strzeleckiego i Polskich Drużyn Strzeleckich, wypowiedział znamienne słowa:

Chowamy członka Rządu Narodowego – Rządu – a nie Rady Narodowej. Rząd bowiem tylko własny – szanowany, a posłuszeństwa wymagający – przystoi narodowi.

Po pół wieku tułaczki życiowej, po pół wieku pracy serdecznej, a krwawej, widziałeś, ostatni z Rządu Narodowego, co naród do walki o wolność i lud prowadził, nowe zastępy, gotowe walczyć za to, za co walczyłeś ty i twoi – widziałeś odrodzonego żołnierza polskiego, któremu jutrzeńka wolności i szczęścia zaświta.

„Chciałem mówić, ale Komendant Strzelców wszystko za mnie powiedział, nie mam nic do dodania” – oświadczył występujący po nim bp Władysław Bandurski.

Słowa Piłsudskiego mamy prawo nazwać symbolicznym przejęciem spuścizny Powstania Styczniowego przez żołnierzy Legionów Polskich, którzy pod jego dowództwem rozpoczęła za sześć tygodni kolejny polski marsz ku wolności.

W tym miejscu wrócić już możemy do osoby Tadeusza Żulińskiego, tym bardziej że członkiem tajnego powstańczego Rządu Narodowego Romualda Traugutta, który obok niego zawisł na szubienicy na stokach Cytadeli Warszawskiej, był również stryj Tadeusza – na którego cześć przyjął on pseudonim „Roman” – Roman Żuliński (1833–1864), nauczyciel matematyki i geografii, autor podręcznika *Zasady rachunku różniczkowego i całkowitego*

(1859), założyciel przeszło dwóch tysięcy katolickich szkółek ludowych i licznych Szkół Niedzielnych dla Sług.

Uczestnikiem Powstania Styczniowego – członkiem redakcji tajnych pism „Dzwon Duchowny” i „Głos Kapłana Polskiego” oraz sekretarzem Wydziału Zagranicznego Rządu Narodowego – był drugi stryj Tadeusza, ks. Kazimierz Żuliński (1831–1904), następnie wiceprezes Stowarzyszenia Kapłanów Polskich na Emigracji, duszpasterz Polaków w Monachium i Pradze, kaznodzieja w kościele Mariackim w Krakowie.

Dwaj następni stryjowie, Aleksander i Edward Żulińscy, po upadku Powstania Styczniowego zostali skazani na kilkuletnie zesłanie na Syberii.

Ojciec Tadeusza, Józef Żuliński (1841–1908), w czasie Powstania Styczniowego mianowany przez Rząd Narodowy naczelnikiem w Krakowie, wykładowca geologii w Wyższej Szkole Polskiej na Montparnasse w Paryżu, współorganizator Muzeum Geologicznego w Krakowie, był następnie założycielem Muzeum Szkolnego we Lwowie, znanym działaczem społecznym i filantropem we Lwowie (jego domowi Maryla Wolska poświęciła znany wiersz *Tamten świat*).

I kilka słów jeszcze o siostrach naszego bohatera, Tadeusza Żulińskiego. Barbara Żulińska (1881–1962), zmartwychwstanka, przełożona Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstania Pańskiego we Lwowie i założycielka Seminarium Ochroniarskiego, była autorką książek *O wychowaniu religijnym w wieku przedszkolnym* (1931) i *Matka obywatelka* (1937).

Druga siostra, Paulina – która służyła w szeregach 1. pułku szwoleżerów w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. i odznaczona została Krzyżem Walecznych – wyszła w 1925 r. za mąż za mjr. Juliusza Dudzińskiego (1893–1939), oficera Legionów Polskich i odrodzonego Wojska Polskiego, posła i sekretarza Sejmu RP, w kampanii wrześniowej 1939 r. dowodzącego ochotniczym oddziałem w obronie Lublina; ciężko ranny, zmarł w szpitalu 17 września 1939 r.

Mówiłem wcześniej o stryju Tadeusza, Romanie Żulińskim, powieszonym razem z Trauguttem. Wraz z nimi zginął także Rafał Krajewski (1834–1864), architekt, dyrektor Wydziału Spraw Wewnętrznych Rządu Narodowego, który przed śmiercią w *Wierszu z więzienia* napisał m.in.:

Z upadłej sprawy Ojczyźnie  
Zostawmy posiew przyszości  
Gdy krwi nie stało w spuściznie  
Oddajmy na siew swe kości.

Jego stryjeczny prawnuk, Bohdan Krajewski (1919–1998), syn oficera armii carskiej, rozstrzelanego przez bolszewików, urodzony we Władywostoku, uczestnik kampanii wrześniowej 1939 r., student Wydziału Mechanicznego tajnej Politechniki Warszawskiej i żołnierz Armii Krajowej, uczestnik Powstania Warszawskiego, absolwent Politechniki w Hanowerze, w PRL był wieloletnim pracownikiem naukowym (docent dr hab.) w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku, gdzie w 1980 r. został wybrany w skład pierwszej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”.

\*

Na zakończenie chciałbym wrócić do dwóch książek pod identycznym tytułem *Kamienie na szaniec*. Mówiłem już, że niemal cała historia Polski XIX i XX stulecia to dzieje wielu

kolejnych pokoleń „kamieni na szaniec”. O tych pierwszych, urodzonych w niewoli, pisał Karol Koźmiński. Ci z pokolenia, o którym pisał Aleksander Kamiński, z pierwszego pokolenia urodzonego i kształcącego się w wolnej i niepodległej Polsce, wywalczonej przez ich dziadów i ojców, wychowywani na wzorach osobowych bohaterów tamtych walk, stali się ostatnim pokoleniem walczącym z bronią w ręku o ponowne odzyskanie niepodległości utraconej w 1939 r.

Opowiadał o tym w swojej relacji, o której mówiłem wcześniej, Tadeusz Zawadzki „Zośka”:

Znamy bohaterstwo na polu walki, bohaterstwo żołnierza. Te chwile, w których odwaga żołnierska dochodzi do szczytu, gdy napięcie walki pozwala na zdławienie strachu i objawia się w najpiękniejszych czynach żołnierzy-bohaterów. Znamy je wszyscy z legend o naszych przodkach, ze wspomnień z naszej dalekiej i zupełnie jeszcze świeżej przeszłości. Symbolem jego – to niebiesko-czarna wstążeczka Virtuti Militari na piersiach żołnierzy czy w godle miasta Lwowa.

